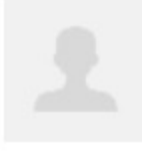


Chłopcy z zapalkami

Biedermann i podpalacze, reż. Silke Johanna Fisher, Teatr Polski we Wrocławiu



HENRYK MAZURKIEWICZ

Doktor nauk humanistycznych, krytyk teatralny, członek redakcji portalu „Teatralny.pl”. Pisz







Fot. Marek Grotowski

Biedermann siedzi w fotelu. Cała jego uwaga skupiona jest na licznych ekranach i monitorach. Za ich pomocą dobrze prosperujący przedsiębiorca obserwuje znajdujący się na zewnątrz świat. Dokładniej, przygląda się uważnie tej granicy, która oddziela jego świat od świata, z którym nie chce mieć za wiele wspólnego.

Sądząc po ilości pochłanianych przez niego nagrań z kamer rejestracyjnych i wiadomości telewizyjnych, ale też po nerwowym pobudzeniu w całym ciele i nutek obsesji w głosie, jest tym oglądaniem wręcz zahipnotyzowany. Nielatwo mu opuścić swój zdigitalizowany punkt obserwacyjny. Niemniej jednak

nieustanne strzeżenie rubieży ewidentnie go męczy i napawa niepewnością, podrzucając wyobraźni kolejne czarne scenariusze bliższej i dalszej przyszłości. Na domiar złego, okna jego willi wychodzą wprost na brudną, poszarpaną i pokrytą graffiti ścianę. Za wielkimi szybami, niczym rybki w akwarium, snują się najubożsi przedstawiciele lokalnej rafy ekonomicznej – bezdomni w łachmanach. Ale nie tych nieszczęśników, targających przed sobą wózki hipermarketowe (bynajmniej nie z zakupami), boi się Biedermann. Gdzieś tam, w głębi tego akwarium ukryci w wodorościach przyczaili się podpalacze, prawdziwe drapieżniki morskie. O ich niszczycielskich wyczynach codziennie donoszą gazety. Prasa przecież uwielbia palące tematy z podwodnego królestwa.

Pewnego dnia u progu domu Biedermanna zjawia się bezdomny zapaśnik Schmitz, znany też jako Sepp (Jakub Giel). Niezaproszony, szybko przekracza ten próg, żeby znaleźć się w środku. Biedermann, próbując zachować *status quo*, skrupowany poprawnością polityczną, ulegając pochiebstwom i własnym fantazjom o możliwych konsekwencjach pośpiesznych decyzji, robi krok do tyłu. Ustępuje, próbując jednocześnie zachować wobec Schmitza odpowiedni dystans. Jednak jeden taki kroczek pędko prowadzi do kolejnego. Biedermann z zadziwieniem spogląda na to, jak jego uwodzicielska służąca (Paulina Chapko) przynosi gościowi zamówiony przez niego obiadek. Taki mały. Najważniejsze, żeby było dużo musztardy. Wreszcie przybysz z ulicy zostaje zaproszony na nocleg. Biedermann z oszalamiającą go prędkością traci kontrolę nad sytuacją. Przestaje być panem we własnym domu, w którym coraz więcej jest Schmitza z jego łzawymi i mało wiarygodnymi historyjkami. Stanie się jeszcze ciałniej, gdy Schmitz zaprosi do już zagospodarowanego przez siebie poddasza swego przyjaciela Eisenringa (Michał Chorośiński). Zupełnie zaś nieznosnie, kiedy w ślad za drugim lokatorem na strychu pojawiają się beczki z benzyną.

Za jedno z głównych źródeł bezradności Biedermanna należy uznać język, którym się posługuje. Bojąc się nazywać rzeczy po imieniu, podążając za wypracowanymi nawykami, stara się dotykać rzeczywistości przez rękawiczki retoryki. Poza tym Biedermann jest mistrzem autosugestii. Broni się przed niewygodną, straszącą go prawdą za pomocą coraz to nowych i coraz to bardziej absurdalnych, wymyślanych na poczekaniu teorii. Scała swój świat za pomocą słów. Słowami lata w nim dziury. Wznosi obronne konstrukcje z eufemizmów, nie uświadamiając sobie, że gwarancją wytrzymałości tych leksykalnych bastionów jest obowiązujący w danej chwili konsensus społeczny. Wszystko to coś znaczy, dopóki wszyscy, lub znaczna większość, na to się zgadzają. Ale jak poradzić sobie z kimś, kto nie wierzy, że własność prywatna jest rzeczą świętą? Że przemoc nie może być rozwiązaniem? Jakimi słowami, zdaniem i deklaracjami bronić się przed kimś, kto siedzi na beczce z benzyną?

Nie wiem, czy w tej chwili nie zaczynam już nadinterpretowywać tego, co zobaczyłem podczas premierowego wieczoru w Teatrze Polskim we Wrocławiu. Niepewność moja wynika z tego, że pracująca po raz pierwszy w Polsce niemiecka reżyserka Silke Johannie Fischer, jak się wydaje, postanowiła nie rozstawiać wyraźnych akcentów. Czytając tekst szwajcarskiego architekta, pisarza i dramaturga Maxa Frischa, nie dokonuje znaczących skreśleń czy podkreśleń. Po prostu przekłada jego dzieło na język teatru. Niestety, najczęściej takie przedkładanie wygląda raczej na pracę rzemieślniczą niż na artystyczne wyznania.

Mimo pewnych aspiracji i prób wzniesienia się na metapoziomy, wrocławska wersja *Biedermanna i podpalaczy* niedaleko uciekła od najzwyczajszej farsy – takiej z trzaskaniem drzwiami, „niespodziewanymi” zwrotami akcji i nadekspresywnym aktorstwem. Szkoda nieco w tym wszystkim grającego główną rolę Cezarego Łukaszewicza, który naprawdę się stara, poci i daje z siebie tyle, na ile w ogóle pozwala cała sytuacja. O farsowości spektaklu dobitnie świadczą potraktowanie przez reżyserkę postaci drugoplanowych. Niekiedy w ogóle nie wiadomo, w jakim celu pojawiają się na scenie. Mam na myśli bezimiennego bodajże naukowca i myśliciela (Przemysław Sejmicki), który najpierw niby to jest w zmwowie z podpalaczami, potem jednak okazuje się, że nie do końca. Nienaturalna, pełna wystudiowanych gestów żona głównego bohatera Babette (Iwona Stankiewicz) też pozostała tylko szkicem postaci. Jestem pewien, że widzowie lepiej zapamiętali jej sztywne kolorowe peruki niżli ją samą. Natomiast cały bałagan z ochroniarzami-tajniakami, którzy nieudolnie naśladują agenta Smitha z *Matrix*, wygląda strasznie amatorsko.

Braki fajerwerków inscenizacyjnych, jak podejrzewam, miało uzupełniać kreatywne podejście do scenografii Stefana Morgensterna. Pretensjonalna kiczowatość nowobogackiej willi została dobrze przedstawiona za pomocą zamierzonego przepychu detali: wspomnianych wyżej monitorów, małych fontann, prawdziwego łóżka, prawdziwej szafy, prawdziwego niemal poddasza z całkiem prawdziwymi beczkami. Musztarda, żeby nie było wątpliwości, też była najprawdziwsza. Wygląda to, można by powiedzieć, dość imponująco. Tylko że wiszący pod sufitem biały fortepian, w wykreowanym przez reżyserkę mikrokosmosie scenicznym, pozostaje wiszącym pod sufitem fortepianem. Po prostu sobie wisi. Gdyby postanowiono podwiesić wiolonczelę, zestaw perkusyjny, czy nawet całą orkiestrę... też by to wszystko tam wisiało. Cóż z tego? Moim zdaniem, szkoda pieniędzy i fatygi, skoro nie przekłada się to zbyttnio na gęstość semantyczną.

Frisch w dziele napisanym ponad sześćdziesiąt lat temu dość bezwzględnie piętnował niebezpieczną dla całego społeczeństwa hipokryzję, zakłamanie i uległość klasy średniej. Fischer też niby się tym zajmuje, tylko że diagnozy z przedstawienia wydają się zbyt ogólnikowe. Poza tym przedstawienie trąci pop-socjologią bazującą na wyobrażeniach o klasach, ruchliwości społecznej, burżuazji i tym podobnych zjawiskach, które nie do końca się broniły już w połowie XX wieku. W płynnej nowoczesności społeczeństwa sieci niekiedy wyglądają wprost anachronicznie. Niebezpiecznie anachronicznie, należałoby powiedzieć.

Przez to, że nie wiemy, dokąd zmierza reżyserka, cała zabawa z metaforyzacją i symbolizacją ognia i podpalania po jakimś czasie zaczyna nużyć. Zbyt szybko łapiemy reguły tej gry, ale nikt z nami nie chce na poważnie w nią zagrać. W ten sposób palenie „wypala się” po czterdziestu minutach. Podejrzewam jednak, że znacznej części widzów starczyłby i pierwsze dwie, trzy sceny, żeby jednoznacznie odczytać przedstawienie, widząc w podpalaczach uchodźców ze wschodu. A raczej, widząc w uchodźcach przyszłych podpalaczy kochanej (ostatnio na bardzo różne sposoby) ojczyzny. Chciałbym jednak ostrzec przed zbyt łatwymi, zbyt oczywistymi, a przez to powierzchownymi analogiami, które obecnie stoją się namiastką prawdziwej refleksji.

Wydaje się też, że spora część twórców przestała rozumieć jedną prostą rzecz: aktualność obranego tematu nie czyni jeszcze aktualnym samego dzieła sztuki, które do tego tematu się w jakiś sposób odnosi. Co gorsza, przyzwyczajają do tego nieuzasadnionego skrótu myślowego swoich widzów. Nie wystarczy rzucić hasło i puścić oczko. Być może za wiele wymagam, ale zawsze myślałem, że chodzi, najprościej mówiąc, o nowe, odkrywcze zdiagnozowanie problemu. O niejake wniknięcie w jego głębię i dostrzeżenie wszystkich możliwych komplikacji i zawirowań. Wreszcie o pracę nad wrażliwością. Z pewnością zaś nie o to, żeby środkami scenicznymi dublować przekaz zideologizowanych programów telewizyjnych. Nie twierdzę, że niemiecka reżyserka czyni to we wrocławskim przedstawieniu, lecz, moim zdaniem, niebezpiecznie się do tego zbliża. A to już najprawdziwsze igraszki z ogniem.

19-06-2017

GALERIA ZDJEĆ

BIEDERMANN I PODPALACZE, REŻ. SILKE JOHANNA FISHER, TEATR POLSKI WE WROCŁAWIU



ZOBACZ WIĘCEJ



Teatr Polski we Wrocławiu

Max Frisch

Biedermann i podpalacze

reżyseria: Silke Johanna Fisher

tłumaczenie: Sława Lisiecka

scenografia: Stefan Morgenstern

opracowanie muzyczne: Silke Johanna Fischer

kostiumy: Stefan Morgenstern

wideo: Lucia Meinhold

obsada: Cezary Łukaszewicz, Iwona Stankiewicz, Jakub Giel, Michał Chorośiński, Paulina Chapko, Michał Białecki, Agata Skowrońska, Przemysław Sejmicki, Jakub Grębski, Marek Korzeniowski, Przemysław Puchafa.

premiery: 19.05.2017

TAGI: Max Frisch, Silke Johanna Fisher, Wrocław, Teatr Polski,

Udostępnij

SKOMENTUJ

Autor

lub zaloguj się

Treść komentarza

Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:

trzy plus dziesięć jako liczbę:



KOMENTARZE (1)



Niezadowolony widz | 2018-11-06 03:54:04

Cytuj

W ostatnią sobotę wybraliśmy się do Teatru na Świebodzkim we Wrocławiu na sztukę „Biederman i podpalacze”. Aktorzy w mojej ocenie grali dobrze ale generalnie, dla mnie, spektakl nie był zbyt interesujący. Co mnie natomiast zaskoczyło i nastawiło bardzo negatywnie do spektaklu to fakt, że po kilku minutach od rozpoczęcia spektaklu, aktorzy na scenie zaczęli palić papierosy (może cygaretki). Zadaliśmy pytanie, że za dużą, scenę i widownię. Palenie powtórzone po około godzinie. Podsumowując przez niemal cały spektakl siedzieliśmy w zakopconym pomieszczeniu. Jestem osobą reagującą bardzo negatywnie na dym papierosowy, który powoduje u mnie stan zapalny gardła, potem kaszel, katar, symptomy jak w przeziębieniu. Wiadomym niestety jest, że duży procent Polaków podtrzuwa się papierosami. Przykre to, ale prawdziwe. Ale czy to znaczy, że należy podzalać palić na scenie publicznego teatru? Mieszkam za granicą i było to dla mnie absolutnym szokiem, że bez jakiegokolwiek ostrzeżenia poddaje się widzów tego typu torturze. Nie wyszedłem ze spektaklu tylko z szacunku do aktorów, i teraz tego żałuję, bo po kilku dniach ciężkie odczuwam negatywne skutki tego podtrucia. Zakładam, że osobą odpowiedzialną za podjęcie decyzji o paleniu papierosów przez aktorów jest Pani reżyser. Wiadomo jaką chciałbym tej Pani, i wszystkim innym, którzy tą decyzję poparli przekazać, że moim zdaniem, jest Pani, czy jesteście Państwo, bardzo egoistyczni. Jako minimum powinniście informować o paleniu na scenie w momencie zakupu biletów. Gdybym wiedział o paleniu nigdy bym nie kupił biletu na Wasz spektakl. A może chcieliście Państwo uczynić spektakl bardziej realistycznym, może myśleć, że używając prawdziwych papierosów, zamiast może papierosów elektronicznych, wypowiadacie się głębiej i realizujecie się bardziej jako artyści? Jeśli tak uważacie, to może zamiast spalenia to koniec spektaklu makiety, powinniście spalić pomieszczenie teatru? Jakaż to byłaby naturalna, głęboka i spełniająca forma wypowiedzi??? A plusem dla widzów, którzy nie cenią sobie bycia podtruwanymi dymem papierosowym byłoby, że premiera byłaby pewnie pierwszym i ostatnim spektaklem więc podtruwania byłoby dużo mniej... Przykro mi, że wypowiadam się tak krytycznie o tym co zrobiliście, ale Wasz brak taktu i szacunki dla widzów, dzięki którym i dla których, zakładam, tworzyacie, gracie i funkcjonujecie jest zastraszający. Mam nadzieję, że weźmie sobie Pani reżyser czy weźmiecie sobie Państwo popierający decyzję o paleniu na scenie tą opinie pod uwagę w swoich przyszłej działalności artystycznej.